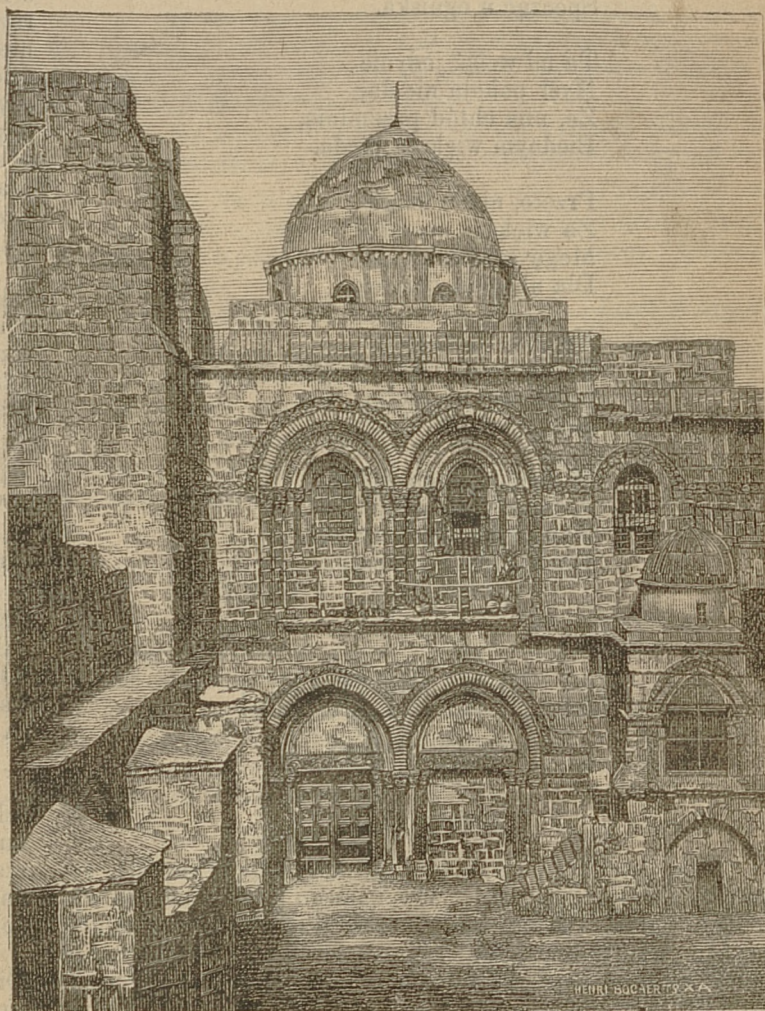




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

Otwarcie kolei żelaznej w Jerozolimie.

Zeszłego miesiąca otwarto wreszcie uroczyste kolej żelazną do Jerozolimy. Ułatwi ona wielce pobożne pielgrzymki i przyczyni się niemało do liczego odwiedzania miejsc świętych. Rozpoczynając się od Akki nad morzem Śródziemnym kolej ta przebiega równolegle z wybrzeżem równinę Akki, jedna jej odnoga idzie do Haify u stóp góry Karmelu — następnie zaś ciągnie się dalej w kierunku południowym i południowo-wschodnim w poprzek przez równinę Esdrelon mimo Nazaretu, Sunem i Jasreel, przez dolinę tejże nazwy i wśród gór bieży do Jordanu, który mija pod Bethsean; zwraca się potem znów na północ i po stoku Dżolan dostaje się na góry, otaczające wschodnie wybrzeża jeziora Genezalet. Doszedłszy do równiny pod El Al, linia, idąc lekko pod górę, dąży przez Nawa i Kisweh do Damaszku, przecinając najpiękniejsze równiny Palestyny wschodniej i zachodniej. Pierwsza lokomotywa, jaka się ukazała w Jerozolimie, wywołała na ludności miejscowej niesłychane wrażenie. Tłumy mieszkańców wyległy przez bramę Jaffy w kierunku do Betlehem; Arabowie, Turcy, Chrześcianie, Żydzi i Beduini z trwożliwą ciekawością przyglądali się nieznanym dziwom, a gdy rozległ się przeraźliwy świst pary, wielu z nich z okrzykiem przerażenia odskoczyło na bok, sądząc, iż mieć będą do czynienia ze złym duchem. Przy otwarciu wszakże kolei, wszyscy już oswojeni z jej widokiem zgromadzili się tłumnie, aby się przyjrzeć ceremonii odprawianej przez imanów czyli kapłanów tureckich. Polegała ona na własnoręcznym zarznięciu przez nich



Kościół Grobu św. w Jerozolimie.

czterech baranów oraz pokropieniu krwią tych zwierząt szyn kolei i parowozów. Obecni byli wraz z miejscowymi wszyscy przedstawiciele władz europejskich. Barbarzyński obrzęd przywiódł zapewne niejednemu na pamięć, że miejsca święte pozostają jeszcze w rękach niewiernych; wywoływał też westchnienie i gorącą prośbę do Boga tych, którzy się udali następnie do kościoła Grobu św., aby rychło kolej ta poświęconą być mogła chrześcijańskim znakiem krzyża.

A.

W LISTOPADZIE.

Lecą listki, lecą
Szumią nad ugiorem,
Iskry mroźne świecą
Rankiem i wieczorem,

Zniknęły porwane
Niteczki pajęczę;
Ach, czuję tę zmianę!
Lecz po co się dręcę?

To źle! oczywiście!
Wszak pory się zmienia
I maj znowu liście
Ubarwi zielenią.

Tymczasem jak błogo,
Choć mróz ziemię ściska,
Z mą rodziną drogą
Spocząc u ogniska.

Ta mi wciąż jedynie
Myśl pokoju nie da,
Że, nim chłód przeminie,
Biednym większa bieda,

Przeto, niebu dzięki,
Za większy dostatek!
Mogę żyć sukienki
Dla ubogich dzieciak.

Niechże listki lecą,
Niech śnieg biały prószy,
Mnie weselej nieco,
Lżej na sercu, duszy.

W pomoc Boga wierzę
A zmiany nie czuję,
Gdy po lekcyach szczerze
Dla biednych pracuję.

E. M.

DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

(Dalszy ciąg).

Przez trzy tygodnie obie karawele płynęły razem i żegluga była dosyć pomyślną. Dwunastego lutego okropna wybuchnęła burza. Orkan wył i ryczał, niby zwierz rozsalały; szarpał w szmaty liny i żagle, szumiące spienione fale, mały drobny statek wciąż podrzucały niby wątlą łupinę. Najodważniejsi, najwytrawniejsi żeglarze pobledli z trwogi: żadna siła, żadna moc ludzka nie byłaby zdolną stawić oporu rozhu-

— Straszliwa noc! Ocean się wściekł chyba! a wicher jego zaciekość podtrzymuje! — rzekł do admirała Ludwik de Bobadilla — chyba nie umkniemy żywcem z tych opałów; życie nasze wisi na włosku.

— Bóg tylko jeden może nas ocalić — odpowiedział Krzysztof Kolumb i skinął na swego młodego przyjaciela, aby zszedł za nim do kajuty.

— Jeżeliby już wola Najwyższego przeznaczyła nam śmierć w nurtach Oceanu, to niechże przynajmniej z nami nie zginie wiadomość o tych odkryciach, których dokonaliśmy. Hrabi de Lhera, jeśli łaska, dobywaj ze skrzyni te pergaminy, na których spisywaliśmy wszystkie przygody naszej podróży, od chwili jej rozpoczęcia, aż do dnia dzisiejszego. Stoi tam zanotowane jakimi szlakami płyniemy; są tam opisane wszystkie porty kędyśmy się zatrzymywali, wszystkie lądy i wyspy kędyśmy gościli i plody tych ziem wszelakie, i one ludy dobre, które nas witały jak wysłańców z nieba. Dopisz że jeszcze na tych pergaminach, że ja, Krzysztof Kolumb, genuńczyk, w ostatniej chwili mego godzinie, która oto, pewno się zbliża, błagam Zbawiciela, niechaj tym ludziom dobrym da jaknajrychlej poznać światło świętej wiary i niechaj pozwoli, aby przeświecne korony Aragonii i Kastylii, jak największe z tych ziem nowo odkrytych odniosły korzyści. Dopisałeś to przyjacielu?... dobrze! zwijajmy teraz pergamin, oblepmy go woskiem, i zwój pakujmy w tę oto barylkę... Zabijmy teraz gwoździami dno barylki. Jużes to zrobił? Więc teraz co tchu rzucajmy ją w morze. Lekka jest, będzie się unosiła na falach, i może jaki okręt ją spotka i pochwyci, lub też prądy na wybrzeża jakiego ucywilizowanego kraju ją wyrzucą i ludzie wówczas dowiedzą się o istnieniu tych krain, któreśmy odkryli. A dziennik mój zachowam przy sobie; niech ocaleje lub zginie wraz ze mną.

— Towarzysze! przemówił admirał do załogi, kiedy z Ludwikiem de Bobadilla znowu wyszli na pokład, — towarzysze, uczynmy ślub że jeśli zdrowo i cało wyjdziemy z tego niebezpieczeństwa, jeden z nas odprawi pielgrzymkę do kościoła Najświętszej Panny, do kościoła, jaki będzie na pierwszym lądzie, do którego ta miłosierna Opiekunka żeglarzy doprowadzi nas szczęśliwie. Bartolomeo Roldan trzyma w swoim kapeluszu tyle ziarenek grochu, ilu nas jest na okręcie. Na jednym ziarnku narysowałem krzyż, kto ziarnko z tym znakiem świętym wyciągnie, ten odbędzie pielgrzymkę. Jako wasz admirał, ja będę ciągnął najpierwszy. — Zagiął rękę w kapeluszu Bartolomea Roldana i wyjął zeń ziarnko grochu z krzyżem. Trzy dni srożyła się burza i cichła bardzo powoli. Pinta znowu zniknęła. Tym razem wszyscy byli pewni, że trzeba opłakiwać jej stratę. Ośmnastego lutego skołatana karawela przybiła do portu jednej z wysp Azorskich Santa Maryi.

Cała załoga Niny z admirałem swoim na czele wybrała się do kościoła Matki Boskiej, dla spełnienia uczynionego podczas burzy ślubu.

Szli bosso, niosąc zapalone wielkie świece woskowe, chórem śpiewając pieśń: „Gwiazdo Morza.”

Nagle otacza ich poczet uzbrojonych portugalczyków. Otacza i uprowadza do więzienia. Gubernator wyspy, portugalczyk, Jan de Castanedo, mniema, że to są jacyś złoczyńcy, lub napastnicy... Rzecz jednak wyjaśnia się wprędce. De Castanedo przeprasza, usprawiedliwia swoją pomyłkę i zachęca wielkiego odkrywcę, aby dłużej pozostał na Santa Maryi. Jemu przecież śpieszno do Hiszpanii.

— Odpocznijmy w domu, senor, dzięki ci za twoją gościnność, mówi Krzysztof Kolumb i po dwudniowym odpoczynku rusza w dalszą drogę. Burza znowu pastwi się nad żeglarzami, walczą z nią, bo nadzieja ich podtrzymuje i sił im dodaje; wszak każdy ruch okrętu naprzód do ojczyzny ich zbliża...

Czwartego marca wpłynęli w ujście Tagu. Bartłomiej Diaz, będący podówczas kapitanem wojennego okrętu, nie chciał wpuścić do portu nieznanomych żeglarzy. Sprawdziwszy, że to przybył Krzysztof Kolumb, admirał oceanu, wicekról Indyj i wielki odkrywca, zaprasza go, aby wylądował na ziemię por-

62
tugalską i śpieszy na jego spotkanie z licznym orszakiem, okrzykami i muzyką. Król Jan wzywa Krzysztofa Kolumba. Przyjmuje go na swoim dworze, pozwala mu w swej obecności siadać z nakrytą głową, co już było najwyższym zaszczytem...

Po dwustu dwudziestu czterech dniach żeglugi, trzynastego marca 1493 roku, o świcie Nina wpłynęła do portu w Palos.

Kilka dni przed tą datą przybył tam Alonzo Pinzon. Wiarołomny ten człowiek podczas burzy powtórnie opuścił swego admirała. Mniemał, że statek admirałski się rozbił—więc uprzedzwszy przybycie Niny, rozgłosił, że to on dokonał wielkich odkryć. Mimo wszelkich pozorów prawdy nie uwierzono mu. Rozchorował się z zazdrości i gniewu, że mu się podstęp nie udał, że ujawniły się zdrada jego i kłamstwa...

„Do dostojnego Krzysztofa Kolumba, naszego admirała Oceanu, naszego wice-króla i wielkorządcy wysp nowo odkrytych.”

Tak zaadresowane pismo królewski goniec wręczył genuieńczykowi w Palos.

Zawierało ono łaskawe słowa monarszego pozdrowienia dla Krzysztofa Kolumba i uprzejme wezwanie, aby przybył do Barcelony, gdzie Ferdynand Katolicki i jego małżonka przebywali podówczas.

Krzysztof Kolumb, śpiesząc do rezydencji królewskiej, odbył prawdziwie tryumfalny pochód.

Ze wsi i miasteczek lud wybiegał na gościniec i okrzykami radości i entuzjazmu witał wielkiego żaglarza.

A cóż dopiero działo się w Barcelonie piętnastego kwietnia 1493 roku!

Sklepy wszystkie pozamykano, zajęcia i roboty wszelkie ustały, niby w dniu uroczystego święta. Gospody nie mogły pomieścić ciżby podróżnych, którzy umyślnie do Barcelony śpieszyli, aby ujrzeć wice-króla Indyj. W każdym zaułku moc ludu. Całe miasto usiane kwiatami, domy przystrojono zielenią.

I temi ukwieconemi ulicami na pysznym andaluzyjskim rumaku jechał Krzysztof Kolumb. Po prawicy swej miał don Ludwika hrabię de Lhera; po lewej ręce admirała, konno też jechał astarszyzna z załogi Niny: więc Sancho Ruiz, Wincenty Yanez, Piotr Alonzo wice-króla i Bartolomeo Roldan. Alkad Sewilli z giermkami torowała pochodowi drogę wśród niezliczonych tłumów, zalegających place i ulice.

U bram królewskiego zamku najznakomitsi grandowie i książęta: de Mendoza, de Guzman, de Certa, de Toledo oczekiwali admirała i poprowadzili go przed oblicze królewskie. Skoro genuieńczyk wszedł do sali, gdzie Ferdynand i Izabella zasiedli na tronie, z którego powstali, gdy przykląkł przed niemi, majtkowie z Niny, stanowiący część orszaku admirała wnieśli przywiezione z za morza rośliny, kawy, owoce, motki bawełnianej przędzy, złoto w kawałkach i w piasku, złote korony ofiarowane przez kacyków, dzidy, proce i łuki, żywe ptaki i wypchane aligatory i węże. Wszystko złożyli u podnóża tronu. Sześciu wyspiarzy z Guanahani umalowanych na ponsowo i biało pochylają się przed Ferdynandem i Izabellą. Ciekawie oglądający wszys zamorskie dziwy, a patrząc na wyspiarzy i wypchane zwierzęta szepcą pomiędzy sobą:

— Ach! jakież to przerażające potwory!

— Królowa! dona Beatrice! senorita Merceda! niech żyją! niech żyją!—wołają nagle piskliwe, jakieś głosy. a zaraz potem słychać śmiechy: — Ha! Ha! Ha! Król Ferdynand marszczy brwi i spogląda po sali.

— Cóż to za niewczesni jacyś żartownisie, Należy ich ukarać surowo, — mówi rozgniewany.

Krzysztof Kolumb się uśmiecha:

— Przebac, miłościwy panie, przebac nierozumnym istotom. To papugi tak krzyczą i śmieją się; papugi, ptaki gadające, a raczej powtarzające wyrazy, które często słyszą.

Zbliżają się majtkowie, trzymający obłaskawione papugi. Skrzydlata rzesza pozwala głaskać się, trzepoce skrzy-

dlami, a wciąż jedno i toż samo wrzeszczy, to gwiżdże, to śmieje się naprzemian.

Ogólna wesołość opanowywa wszystkich, oprócz jednej Ozemy.

Haityjskie dziewczę stanęło na uboczu i patrzy. Patrzy na damy w przepysznych strojach dworskich, w powłóczyстых sukniach z aksamitu, jedwabiu, ze złocistej lamy, w piórach, w haftowanych czółkach, w powiewnych zasłonach, w drogocennych klejnotach. Ona ma na sobie luźną fałdzistą szatę z białej, grubej, bawełnianej tkaniny, mnóstwo muszelek i blaszek złotych na szyi, słowem, przywdziała, co tylko posiadała najpiękniejszego, a przecież instynktem kobiecym odgaduje, że jest niedobrze ubrana, spogląda na bosc swoje nóżki, na obnażone ramiona i wstydzi się...

Donna Izabela spostrzega ją wreszcie i pyta: co to za dziewczyna? Wysłuchawszy objaśnień Kolumba woła:

— Panie i panowie! witajmyż haityjską księżniczkę!

Panie i grandowie niskie i głębokie ukłony składają Ozemie. Biedne dziewczę nie rozumie co to znaczy; chwytając wyciągniętą ku sobie rękę dony Izabelli—przytula ją do swego serca, a potem składa na niej pocałunek i szepce po hiszpańsku:

— Dobra, biała królowa! — dobra! Ozema! ją kocha! kocha! kocha!

Potem Krzysztof Kolumb opowiada swoje przygody i wzrusza, zachwyca i oczarowuje słuchaczy.

Gdy skończył, Ferdynand i Izabela a za ich przykładem wszyscy klękają. Kardynał Pedro Gonzales de Mendoza intonuje *Te Deum*, któremu kapela królewska zawtórowała, a ze śpiewającymi w sali, łączy swe głosy lud tłumnie zebrany na dziedzińcach zamkowych.

Kardynał Gonzales de Mendoza, zaprosił do siebie Krzysztofa Kolumba na wspaniałą ucztę, w której też brali udział rycerze, grandowie i bakałarze, czyli uczeni.

Naturalnie, podczas bankietu głównym przedmiotem rozmowy były świeżo dokonane odkrycia, a wszyscy, jak kto mógł i umiał najwymowniej, pod niebiosą wynosili mądrość i zasługi Krzysztofa Kolumba.

Na twarzach biesiadników był uśmiech wesoły, ale nie wszystkie serca były jednakowo admirałowi przychyłne.

— Na świętego Jakóba! za suto, za suto został ten genuieńczyk wynagrodzony!... Czy wiecie? miłościwa pani pozwoliła mu używać połączonych herbów Leonu i Kastylii, z napisem:

„Dla Kastylii i Leonu, świat nowy odkrył Kolumb”...

— Niepodobna! a toć to odkąd Hiszpania Hiszpanią, żadnego cudzoziemca, ba! co mówię! żadnego granda, ani li-dalga nie spotkał taki zaszczyt nad zaszczyty.

— Najjaśniejszy pan ceni Kolumba też niemało: człeka, który niedawno jeszcze był sobie zwyczajnym rysownikiem map, sadza obok siebie, po lewicy...

— No jużciż miejsce po prawej stronie króla infantowi, następcy tronu, się należy.

— Niezasłużony, ale szczęśliwy!...

Takie i tym podobne szepty, krążyły pomiędzy nieżyczliwymi Kolumbowi gośćmi, którzy u stołu kardynała de Mendoza siedzieli.

— Czy zauważyłeś, wielbny ojczu, cicho zapytał Luiz Sanangel, księda Piotra de Carascal, — czy zauważyłeś, że ilekroć Juan d'Orbitello, spojrzysz na admirała, wraz skrzywi się jak środa na piątek?

— Owszem: uważam to od początku biesiady,—odrzekł franciszkanin—to zazdrość mój synu, zazdrość niskie i brzydkie uczucie nurtuje w sercu Juana d'Orbitello. Ale patrz: oto powstaje on i zwraca się do Krzysztofa Kolumba. Co mu też powie?

— Admirale, — przemówił Juan d'Orbitello,—czy chcesz łaskawie odpowiedzieć mi na jedno pytanie?

— Na dziesięć pytań odpowiem ci chętnie, jeśli sobie życzysz senor,—uprzejmie odparł genuefczyk.

— A więc! my tu obecni radzibyśmy wiedzieć, czy myślisz don Krzysztofie, że oprócz ciebie nikt, nikt inny nie zdołałby odkryć tych wysp, do których wiatr twoje karawele doprowadził po falach oceanu?... Czy to, czegoś ty dokonał, senor tak trudne jest, tak nadzwyczajne?... Ciekawiśmy tego bardzo i radzibyśmy czenprędzej usłyszeć twoją odpowiedź senor.

Szmer głosów ucichł zupełnie. Wszystkie głowy, wszystkie spojrzenia zwróciły się na Kolumba.

On milczał przez chwilę; potem uśmiechnął się lekko, wyciągnął rękę i wziął jajo ze stojącej na stole misy, obrócił je kilka razy w palcach i rzekł:

— Dostojni panowie! kto z was postawi to jajo na stole; lecz postawi je tak, aby stało prosto bez żadnej podpory? proszę! zróbcie to, jeśli łaska.

Kolejno ten i ów usiłował spełnić żądanie admirała, lecz nadaremnie — jajo przewracało się ciągle.

(d. c. n.)



niem, że nigdy jeszcze nie udało się badać go żywego, w stanie natury.

Dopiero przed kilku miesiącami pewnemu uczonemu zoologowi rybak przywiózł argonautę, schwytanego przez siebie na pełnym morzu.

Była to samiczka, która różni się bardzo wybitnie powierzchnością i wielkością od samczyka.

Muszla argonauty przypomina kształtami spłaszczony zlekka róg obfitości i posiada tę rzadką własność, iż nie jest przytwierdzona do ciała mięczaka za pośrednictwem muskułu.

Ścisłe rzeczy biorąc jest to raczej osłona, ochraniająca stworzenie od okaleczenia; argonauta, jak się wzmiankowany uczony przekonał, może opuszczać dowolnie swoje pomieszkowanie i wracać doń.

Twierdzono dawniej, że mięczak ten wypływa podczas pięknej pogody na powierzchnię morza; sześć swych ramion zanurza w wodzie po obu stronach konchy, dwa, szeroko zakończone rozpościera na wiatr i żegluję sobie, zupełnie, jak maleńki okręcik o wiosłach i żaglach; w razie niebezpieczeństwa zaś z szybkością błyskawicy, zanurza się napowrót w głębię.

Rysunek załączony obok, przedstawia argonautę, tak jak ten wygląda w naturze i widać z niego, że muszlowy otwór znajduje się w położeniu pionowym nie zaś horyzontalnym, jak dawniej przypuszczano.

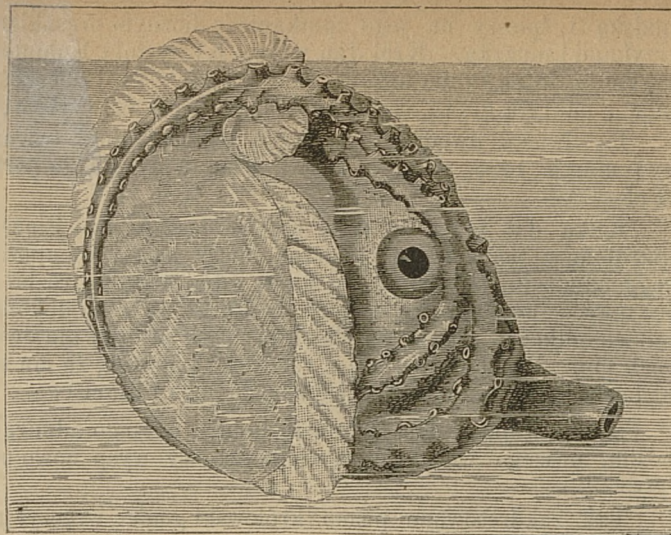
Oczy argonauty, okrągłe i nieruchome, nie mają żadnego wyrazu, tak jak rybie i wyrażają zupełną bierność.

Jego nogi, w liczbie ośmiu, zaopatrzone są w ssawki, służące do chwytania zdobyczy. Skoro tylko mała rybka lub inne jakie stworzenie dotknie takiej ssawki, wtedy zostaje schwytanem z szybkością nadzwyczajną i zanieśionem do paszczy, która leży po prawej stronie, naprzeciwko oczów. Lejek umieszczony pod spodem paszczy jest przyrządem przeznaczonym do wyrzucania nabieranej do wnętrza ciała wody, która wypływając, nadaje ciału ruch wsteczny i nigdy nie wi-

ARGONAUTA.

zło zwierząt wzbudziło tyle ciekawości i przypuszczeń co argonauta z morza Śródziemnego. Wszystko w budowie jego ciała w obyczajach, jest oryginalnem; trudno było by wyliczyć bajki, którym ten mięczak dał początek.

Te rozmaite mniemania pochodziły stąd, iż argonauta jest bardzo rzadkiem stworze-



Argonauta.

dziano, żeby argonauta pływał za pomocą swych ramion; do przenoszenia się z miejsca na miejsce używa on tego samego sposobu, co i inne głowonogi, a mianowicie ściskania i roluźniania swego płaszcza.

Nieprawda także, że argonauta rozwija swe ramiona, zaopatrzone w błonki, i posługuje się nimi jak żaglami; porusza nimi, lecz wtedy tylko, gdy drażnić mu skórę.

Skóra zwierzęcia posiada tę własność, iż zmieniać może swe ubarwienie, stosownie do otaczających przedmiotów, czasami nawet nabiera metalicznych odblasków.

Badania te, są jak widzimy, bardzo ciekawe i pozwalają nam sprostować niezgodne z rzeczywistością opisy argonauty.

W. U.

„ŚPIJ SPOKOJNIE”

obrazek p. A. Do.



odzina trzecia wybiła na kościelnej wieży. Przed bramą szpitala św. Ludwika zatrzymał się chłopczyk, trzynastoletni może, odziany w ciepły paltocik i futrzaną czapkę. Z rumianej twarzyczki jego tryskało zdrowie, a duże czarne oczy rozumnie i pocziwie w świat spoglądały.

Zadzwonił.

— A to ty, mój gościu codzienny — powitała go siostra odzwierna, otwierając bramę. — Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj; wigilia Nowego Roku... muzyka przygrywa na stawie, myślałam, że na ślizgawkę polecisz.

— O siostro Heleno! Zapomniałem nawet, że jest jaka ślizgawka na świecie. Jakże Michaś?

— Bardzo źle. Doktor powiedział, że już tylko na godziny życie jego rachować można.

— Ach, nie! proszę nie mówić takich okropnych rzeczy... dopiero dwa tygodnie, jak zachorował...

— Niestety, moje dziecko; Michaś nigdy zupełnie zdrowym nie był, pracował nad siły — bo może i nie wiesz o tem — zarabiał na swe utrzymanie. Uczył się doskonale, a zamiast biegać po świeżem powietrzu w godzinach wolnych od nauki,

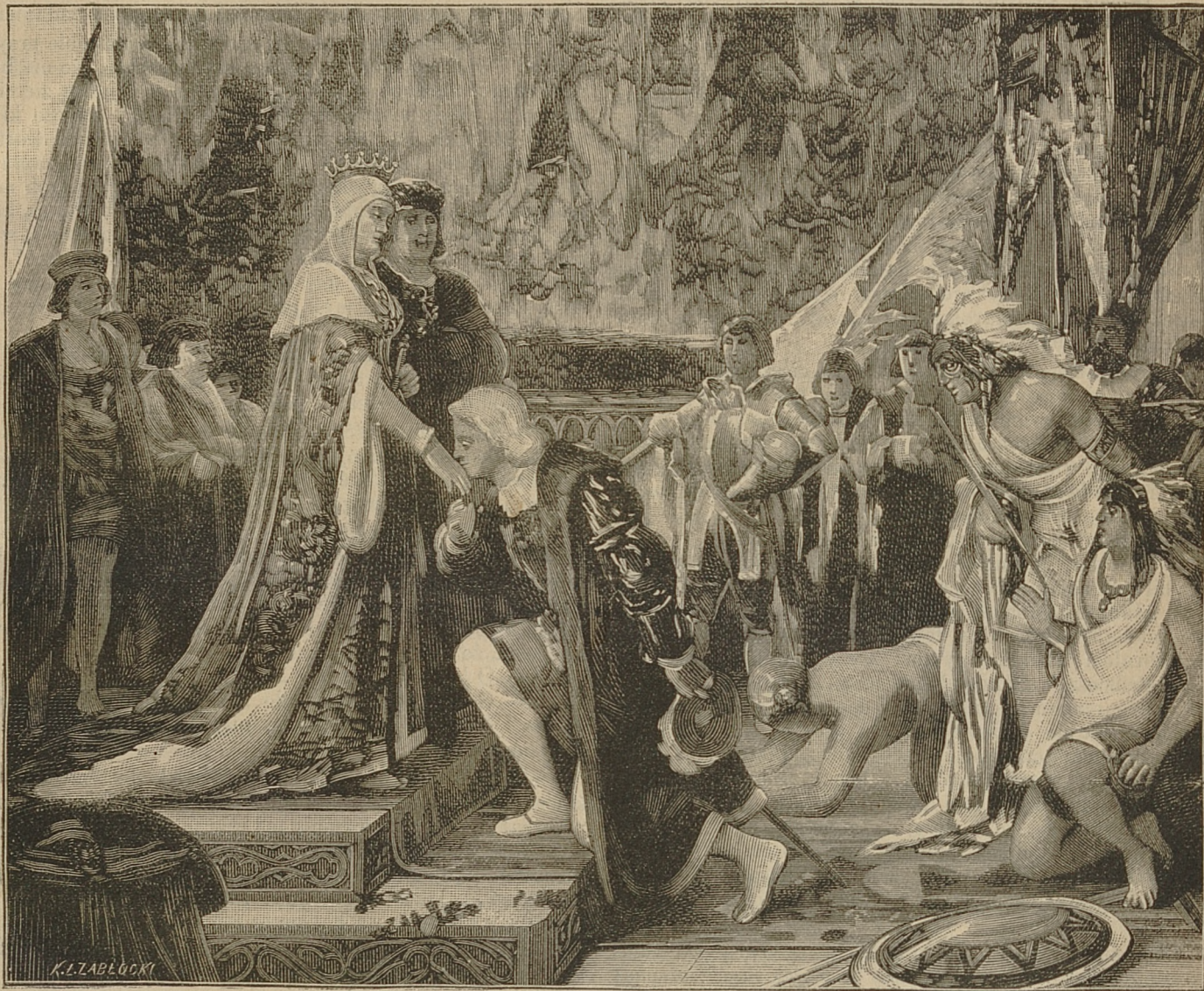
zameczkał się korepetycyami. Nie dojadł, nie dospał, aż i zachorował; a dziś... chyba cud mógłby go uleczyć.

— Ach, Boże drogi! Nigdy mi się nie przyznał, że mu ciężko, nigdy się nie poskarżył. Mnie tak dobrze na świecie, rodzice dogadzają mi na każdym kroku, pieniędzy dostaję więcej, niż wydać mogę, gdybym wiedział... uprosiłbym mamę, onaby z pewnością dopomogła Michasiowi. Ale on zawsze był taki skryty. Kocha mnie bardzo i ja go kocham jak brata, a jednak nigdy mi się nie zwierzył. Czy mogę pójść do niego?

letniego dziecka, tak drobną miał twarzączkę, tak maleńkie rączki. Gdyby nie dziwna stanowczość, w zarysie ust widoczna, niktby nie przypuścił, że ten dzieciak, od pierwszych prawie lat życia sam jeden — sierota, potrafił iść o własnych siłach, łamać trudności, zdobywać wiedzę i świecić kolegom przykładem pilności, jako pierwszy celujący uczeń w klasie.

— Dzień dobry ci, Stefanku... cieszę się, żeś przyszedł. Tak mi dziś smutno było od samego rana.

To mówiąc, chory wyciągnął rękę do przyjaciela i uśmiechnął się radośnie.



Skoro genueńczyk wszedł do sali gdzie Ferdynand i Izabella zasiedli na tronie...

— Idź moje dziecko, ale nie siedź zbyt długo; o czwartej zamykam furkę dla obcych, pamiętaj. —

Chłopczyna przebiegł śpiesznie korytarz i stanął pod drzwiami sali, w której leżał chory jego przyjaciel. Ujął za klamkę i otworzył, powolutku, delikatnie, by go nie rozdrażnić hałaśliwym wejściem. Ośm łóżeczek białych zasłanych, stało rzędem co parę kroków jedno od drugiego. Mniej jakoś w tym czasie było dzieci chorych na płuca, bo trzy tylko łóżka były zajęte.

Na jednym z nich leżał biedny Michaś.

Gorączkowe rumieńce paliły mu się na twarzy, oczy lśniły nienaturalnym blaskiem, a gęste jasne włosy otaczały go złotą aureolą, niby aniołka na obrazku. Michaś, starszy o dwa lata od przyjaciela, robił jednak wrażenie dziesięcio-

Stefanek usiadł przy łożku. Milczał przez chwilę; słowa zakonniczy: „na godziny już tylko jego życia” dzwoniło mu w uszach ponuro, a w gardle coś tak ścisnęło... tak dławilo... przemógł się wreszcie i zapanował nad sobą.

— Mój drogi, ja się codziennie tej trzeciej doczekać nie mogę; radbym ciągle być z tobą.

— O, ja wiem, żeś dobry. Zawsze, zawsze, byłeś dobrym dla mnie. To też... chciałbym ci coś powiedzieć, czego nikomu jeszcze nie mówiłem...

— Poczekaj, siostra Józefa jeszcze wczoraj kazała mi cię pilnować, żebyś nie mówił za wiele, bo cię to męczy. Przyniosłem ci... zgadnij co?

— Albo ja wiem? Może jaką książkę; ale ja za słaby jestem, czytać mi nie wolno; a nawetbym nie mógł, choćby mi

pozwolono. Nie zgadnę, pokaż... o Boże... fiołki!... Jakiś ty dobry, kochany mój Stefanu! Pamiętałeś o moich kwiatkach ulubionych. A jak ślicznie pachną... nie zmarły w drodze... dobrze, żeś je wata owinał. Włóż je zaraz do wody. Albo nie; zostaw, jeszcze się nimi nacieszę, jeszcze się nawącham... Czy ja też pójdę kiedy z tobą na fiołki?... Jak myślisz, dożyję ja wiosny?

Stefanek przygryzł wargi, oczy nabrzmiały mu łzami, ale z całych sił je powstrzymał i prawie wesoło odpowiedział:

— A jakże... zmówimy się w kilku i pobiegniemy za miasto, jak tylko się trawka pokaże.

— Słuchaj Stefciu; chciałem ci coś powiedzieć, prze-rwałeś mi temi fiołkami, ale ja muszę mówić... za ciężko mi z tą myślą...

— Powiedz, mój złoty, powiedz. Jeżeli to, co cię trapi da się odmienić, to może we dwóch łatwiej sobie poradzimy.

— Słuchaj... mnie się zdaje, że ja umrę. Nie przerywaj, proszę cię... to mi się tylko tak zdaje. Pan doktor powiedział, że dziś jest o wiele lepiej... że za parę tygodni będę zdrow jak rybka... cieszę się, wyzdrowieję, zacznę znów chodzić do szkoły... będziemy siedzieli na jednej ławce jak zawsze.

— Twoje miejsce czeka na ciebie — wyszeptał przez łyzy Stefanek. — Póki ty nie wrócisz, nikt ci go nie zajmie. Po lewej stronie mam Karolka, po prawej... pamiętaj, cała klasa tęskni za tobą.

— No widzisz... jak to dobrze... cieszę się... Ale słuchaj: jak się czasem w nocy obudzę, i tak mi gorąco, duszno, tak jakoś dziwnie... to myślę sobie, że pewno umrę i boję się... nie śmierci, o nie!... Co ja to chciałem mówić? Zapomniałem; wiesz, opowiem ci, co mi się tej nocy śniło. Proszę cię, nie broń mi mówić! Ja cały dzień żmیلczę, niechże choć troszkę porozmawiam z tobą.

— Kiedy cię to męczy, tchu ci brakuje...

— To nic; posłuchaj. Widziałem ślicznego anioła; blask bił od niego, aż oczy musiałem spuścić. Rzekł do mnie: „Jam jest Michał, twój patron. Czy chcesz pójść ze mną do nieba?” Jakem się dowiedział, że to mój św. Michał, zaraz nabrałem odwagi i pytam: a czy ja także będę aniołem? „Będziesz.” Skrzydeł nie mam. „Owszem, spróbuj latać”. Obejrzałem się mimowoli i doprawdy widziałem, jak mi z ramion śliczne tęczywo skrzydła urosły... Dwóch małych aniołków chwyciło mnie za ręce, mówiąc: lećmy! I poleciliśmy w górę, w górę, w górę... ach... żebyś wiedział co to za szczęście być aniołem i lecieć do nieba! Nie wiem jak długo unosiliśmy się coraz wyżej... aż nagle, obłoki się rozstały, ujrzaliśmy miliony aniołów i usłyszeliśmy taki śpiew... taką muzykę... jakiej ci nigdy żadnymi słowami opisać nie potrafię. Wpatrywałem się w te cuda, słuchałem pieśni... serce mi biło...

Obok mnie fruwał maleńki aniołek, trzepocąc skrzydełkami jak gołąbek. „Ja jestem twój braciszek Staś”, szepnął mi do ucha. A gdzie jest nasza mama? odszepnąłem mu nawzajem. „O daleko; przy tronie Matki Boskiej, śpiewa w chórze matek.” Jaki to chór? „Bo to widzisz, u nas w niebie jest tak: jak umrze kobieta, która zawsze była bardzo dobra, a pozostawi na ziemi maleńkie dzieci, to jej Pan Jezus pozwala śpiewać u tronu swej matki i prosić, by się opiekowała jej dzieciątkami. Ten chór matek jest jednym z największych u nas. Śpiewają one różne śliczne pieśni Matce Bożej, ale każda pieśń kończy się zawsze słowami:

O Maryo! Usłysz głosów tysiące...
O Maryo! Usłysz prośby gorące...
Nasze sierotki same na ziemi,
Ty im bądź matką, czuwać nad nimi!
Do stóp twych Maryo modlitwa łeci...
O! kochaj nasze dzieci!

Ach... jaka szkoda... z ostatnim wierszem, który mi mój braciszek odśpiewał swoim ślicznym głosikiem, przebudziłem się.

Znikło niebo... znikli aniołowie... i skrzydeł nie mam... szkoda... a tak chciałem zobaczyć Matkę Boską... i moję mamę, której nawet nie pamiętam.

— Ej Michasiu, Michasiu! Nie darmo cię naszym poetą nazwaliśmy, toż ty i przez sen wierszami mówisz!

— Nie, doprawdy to nie ja; najwyraźniej słyszałem głos mego braciszka, a po obudzeniu powtórzyłem sobie kilka razy te modlitwy, żeby ją zapamiętać dla ciebie.

Ale ciągle odbiegam od przedmiotu; co innego chcę mówić a na co innego schodzę... nie wiesz o czym to ja chciałem mówić? Tak mi jakoś w głowie szumi, nie mogę zebrać myśli...

— Odpocznij trochę, zmęczyłeś się tem opowiadaniem.

— Nie, nie zmęczyłem się... aha... już sobie przypominam. Otóż... wiesz... ja się bardzo boję, że nie będę miał swego własnego grobu, swego własnego kącika ziemi po śmierci... Gdy mię tu przywieziono, miałem jeszcze kilka-naście reńskich za lekcje; dałem je do schowania siostrze Józefie. Więc będzie za co trumnę kupić i grób zapłacić. Ale co dziesięć lat przekopują zwykle cmentarz w tych miejscach które nie są zakupione na wieczne czasy i zsypują kości umarłych do wspólnego dołu. Byłem raz na cmentarzu w takim dniu... i... widziałem to... O Boże! Stefanu! Ja tak bardzo pragnę, by mię nie ruszano z grobu, a tak mię dzień i noc ta straszna myśl prześladowa... Placzesz? Prawda, jakie to okropne?

— Placzę — łkając odparł Stefanek — bo słuchać nie mogę, bo mi cię żal, że sobie wyobrazasz Bóg wie co, a za parę tygodni sam z siebie śmiać się będziesz.

— Masz słuszość, niepotrzebnie się martwię. Przecie pan doktor taki rozumny... jeżeli mnie upewnia, że niedługo wyzdrowieję, to musi być prawdą. Ale mi lżej, żem się przed tobą z mego strachu wygadał, prędzej się uspokoję.

— Tak, tak, uspokój się mój drogi, odpocznij sobie, bardzo już zmęczony. Myśl ciągle o wiosnie, o fiołkach, które będziemy razem zrywali, myśl sobie o samych wesołych rzeczach, bo jeszcze długie życie przed tobą; tyle jeszcze lat nauki, a potem... do śmierci kochać się będziemy. Prawda Michasiu, że i ty mnie kochasz?

— O bardzo, bardzo. Ale... gdyby jednak...

— Gdyby się... tak stało... to... nie bój się; śpij spokojnie. Nikt cię nie dotknie, nikt twego... nie poruszy. Przysięgam ci!

— Ach dziękuję! Teraz mi dobrze! Jestem tak szczęśliwy... kamień spadł mi z serca. Wiesz Stefciu, jabym się przespał troszkę; teraz mnie już czarne myśli dręczyć nie będą; odpocznę sobie we śnie. Ale ty nie odchodź... siedź tu... bliźutko... ja się tylko chwileczkę zdrzemnę. Przykryj mnie mój drogi... jakoś mi chłodno... tak... dziękuję ci. A moje fiołki... będę je wąchał przez sen...

Cisza zapanowała na sali, przerywana tylko przyspieszonym oddechem chorych dzieci.

Stefanek w smutnem zamyśleniu spoglądał na śpiącego przyjaciela. Teraz już nie potrzebował udawać wesołości, kłamać nadziei, którą mu tak stanowczo odebrano. Patrzył, a wielkie ciężkie łzy spływały mu po twarzy.

Drzwi otworzyły się zcicha, weszła siostra Józefa.

— Odejdź Stefanu, siostra Helena furtę już zamyka.

— Jeszcze chwileczkę, jeszcze parę minut... Michaś tak prosił, bym nie odchodził od niego. Śpi spokojnie, może zdrowszy się zbudzi.

Zakonnica zbliżyła się do łóżeczka i ręką dotknęła czoła śpiącego chłopczyka. Pochyliła głowę, zdawała się czegoś słuchać.

— Możesz odejść moje dziecko... Michaś już w niebie.

Stefanek nie poruszył się z miejsca. Nie zrozumiał. Nie mógł pojąć, co te trzy małe słówka znaczyły. Patrzył przed siebie bezmyślnie...

Nagle, zsunął się na kolana i ukrywając twarz na poduszce, obok główki Michasia, zaszlochał tak żałośnie, tak ciężkim jęknął płaczem, że nawet zakonnica, przywykła do

widoku cierpień i smutków ludzkich, nie mogła się od łez powstrzymać.

Wzięła go za rękę i pocieszając a perswadując, wyprowadziła z sali. Ze spuszczoną główką, spłakany, zmęczony, powracał biedny chłopczyna do domu.

Na słoneczną drogę młodego życia, padł cień pierwszego bólu.

* * *

Na grobie Michasia kwitną fiołki co wiosna. Ośm lat minęło od śmierci sieroty, nie sieroco jednak wygląda jego mogiła. Odarniowana, latem i zimą czyściutko omieciana, co środę świeżym zdobna bukietem. Co środę widzieć można młodego mężczyznę stojącego w zadumie przed kamiennym krzyżykiem, na którym dwa tylko wyryto wyrazy:

Stefanek — Michasiowi.

SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Tak rozmawiając, staruszka żwawo krzątała się po izbie, nie zapominając o niczem, co gościowi mogło być potrzebne. Po sutej i smacznie przyrządzonej wieczerzy, usłała łóżko i powiedziawszy gościowi dobranoc, wyszła do swojej sypialni, dokąd czarny kot za nią podążył.

Rozebrawszy się w mgnieniu oka, Hubert rzucił się na miękkie posłanie i zasnął natychmiast.

Nazajutrz rano dostał na śniadanie talerz kaszy z mlekiem, a zjadłszy ją ze smakiem zapytał staruszki, czy udałoby się znaleźć w Augsburgu malarza, któryby zechciał przyjąć go do swej pracowni.

— Zdaje mi się, że w naszym mieście nie znalazłbyś takiego miejsca — odpowiedziała staruszka. — Jeżeli masz zamiar poświęcić się malarstwu, lepiejbyś zrobił udawszy się gdzieindziej.

— Dokąd? — zapytał Hubert.

— Do Norymbergi. Mieszka tam znakomity malarz, Albrecht Dürer, którego obrazy bardzo są cenione; gdyby on zechciał cię przyjąć, mógłbyś być pewnym, że czasu tam nie stracisz na próżno.

Hubert milczał przez chwilę, wstyd mu było wyjawić staruszce, w jak trudnem położeniu znajdował się skutkiem kradzieży popełnionej przez landsknechtów, ale ona sama o tem pomyślała. Wyjawszy kilka sztuk złota z dużej drewnianej skrzyni, stojącej pod oknem, podała je chłopcu mówiąc z przyjaznym uśmiechem:

— Przyjmij to odemnie na drogę; wystarczy ci przynajmniej na żywność i na nocleg.

Hubert dziękował ze łzami w oczach.

— Nie ma za co, mój chłopcze — przerwała — daję ci takiem sercem, jak gdybym dawała mojemu biednemu Krystynowi.

Gdy Hubert powstał z za stołu, staruszka zarzuciła płaszcz na ramiona, aby go wyprowadzić po za miasto. Idąc przez kilka szerszych i wyższych ulic opowiadała mu szczegółowo, którą drogą iść powinien, wreszcie zatrzymała się przy murze okalającym miasto.

— Idź z Bogiem, mój chłopcze — rzekła żegnając młodego wędrowca — a jeżeli kiedyś będąc już dorosłym, powrócisz do Augsburga, nie zapomnij wstąpić do Barbary Fleischinger. Znajdzie się zawsze kącik dla ciebie w moim domu, jeżeli do tej pory Bóg nie powoła mnie do Swej chwały.

Zapewniwszy zaczął staruszkę, że nie zapomni nigdy o jej dobroci, Hubert pożegnał się z nią i z czarnym kotem, który wiernie towarzyszył swej pani. Idąc dalej, kilkakrotnie oglądał się po za siebie i długo jeszcze widział ją stojącą

na wzgórku. Wreszcie znikli mu z oczu. Przyspieszył kroku chcąc jak najprędzej dojść do Norymbergi, gdzie spodziewał się znaleźć wreszcie stałe zajęcie. Szedł prosto przed siebie, nie oglądając się na prawo ani na lewo, dopóki uwagi jego nie zwrócił ładny dom, stojący wśród dużego ogrodu. Podszedłszy bliżej, dostrzegł siedzącą w oknie kobietę, której rysy twarzy nie były mu obce. Zbliżył się, przyjrzał uważnie i poznał w niej wreszcie panią Welzer, tę samą, która podczas owej nieszczęśliwej przygody w oberży tak serdecznie stanęła w jego obronie. Młoda kobieta siedziała pochylona nad robotą. Usłyszawszy w pobliżu odgłos kroków, podniosła głowę. Hubert stanął i uchylił kapelusza. Teraz dopiero i ona go poznała: otworzyła okno i wychyliwszy się zapytała, co porabia w tych stronach i dokąd dąży.

— Żałuję, że mego męża niema w domu — dodała — zatrzymałby cię z pewnością i musiałbyś odpocząć u nas.

— Dziękuję łaskawa pani — odrzekł Hubert — pilno mi dojść jak najprędzej do Norymbergi. Zobaczywszy panią chciałem tylko podziękować za jej dobroć dla mnie i ruszam w drogę.

Pani Welzer chciała widocznie obdarzyć go na drogę jakim upominkiem, bo sięgnęła do małej aksamitnej torebki, leżącej przed nią na stole. Hubert odgadując jej zamiar, raz jeszcze uchylił kapelusza i oddalił się spiesźnie.

— Życzę ci szczęśliwej drogi i proszę przyjmij tę chusteczkę na pamiątkę — zawołała pani Welzer nie chcąc obrażać miłości własnej Huberta. — Przed chwilą skończyłam ją haftować.

Z temi słowy rzuciła przez okno białą chusteczkę. Hubert podniósł ją, podziękował ukłonem i schował do kieszeni. Idąc dalej długo jeszcze myślał o pięknej i dobrej kobiecie, długo jeszcze brzmiały mu w uszach słowa staruszki: „Kobiety nasze są zacne i cnotliwe, niejedna z nich godną jest tego, aby korona księcia wieńczyła jej skronie.” Hubert myślał, że pani Welzer jest także godną królewskiej korony; wydała mu się bowiem tak piękną, tak dobrą, że w nagrodę za to największe zaszczyty spłynąć by na nią powinny. A myśląc tak nie przeczuwał, że w przyszłości marzenia jego spełnić się poniekąd miały.

W parę dni później Hubert stanął u bram Norymbergi, miasta będącego kolebką niemieckiej sztuki i poezji minnesingerów. Przed oczyma jego wznosił się piękny zamek, siedziba norymberskich burgrawów, dalej nieco śmiało strzelały ku górze wieże kościołów św. Sebalda i św. Wawrzyńca. Wokoło ciągnęły się pokryte zielenią mury opasujące miasto.

Ujrawszy się nareszcie u kresu podróży, znużony wędrowiec stanął, marząc z rozkoszą o czekającej go tu świetnej przyszłości. Nagle łoskot jakiś wyrwał go z zadumy. Odwróciwszy się, ujrzał jakiegoś chudego, mizernego mężczyznę, który przewrócił się na chodniku. Obok niego leżała rozsypana wiązka drzew, którą musiał nieść na plecach.

— Pomogę wam — bez namysłu rzekł Hubert i schyliwszy się zaczął zbierać rozrzucone polana.

— Musicie być nie tutejszym — odparł leżący na chodniku mężczyzna, widocznie niepomiernie zdziwiony tą uprzejmością.

Zanim Hubert zdążył odpowiedzieć, podeszło ku nim dwóch wyrostków z książkami pod pachą, ujrawszy podnoszącego się mężczyznę zawołali zdaleka:

— Hejże! z drogi, Krystynie, nie chcemy zbliżać się do ciebie, boby nas palcami wytykano,

— Dlaczego wyśmiewacie się z tego nieszczęśliwego człowieka? — z oburzeniem zapytał Hubert — czy nie lepiej byłoby, abyście mu pomogli podnieść się i pozbiierać drzewo?

— Głupiś, mój chłopcze! — zawołał jeden z uczniów — radzę ci, uciekaj od niego bo i ty także będziesz zhańbiony. — Z temi słowy przeszedł na drugą stronę ulicy i oddalił się wraz ze swym towarzyszem.

— On powiedział prawdę — z westchnieniem rzekł nieznajomy — odejdz odemnie, pocziwy chłopcze, nie dotykaj się mnie, ja jestem zhańbiony.

Hubert spojrział na niego podejrzliwie i machinalnie cofnął się o parę kroków. Nieznajomy szepnął z głębokim westchnieniem,

— Shańbiony a jednak niewinny!

— Co to ma znaczyć? — ze zdziwieniem zapytał Hubert. — Jeżeli jesteście shańbieni, musieliście popełnić jakieś przestępstwo, które stało się przyczyną waszej niedoli.

— Czy chcesz wysłuchać mojej historii? — zapytał nieznajomy, zarzucając sobie na plecy wiązkę drzew. Hubert twierdząco skinął głową.

— Jestem krawcem z zawodu — mówił nieznajomy — znalazłem w tem mieście bardzo dobrego majstra, u którego pracowałem jako czeladnik. Pewnego wieczoru wracając do domu, spotkałem na moście jakiegoś człowieka, który przebiegł koło mnie i w moich oczach rzucił się w wodę. Nie zastanawiając się nad tem co czynię, wskoczyłem za nim do wody i po długich poszukiwaniach wyciągnąłem na brzeg martwe jego zwłoki.

— Biedny człowiek! — zawołał Hubert — cóż go skłoniło do tak rozpaczliwego kroku?

— Podobno przegrał w kości cały majątek i odebrał sobie życie, nie mogąc patrzeć na rodzinę, którą doprowadził do nędzy.

— Ale nie rozumiem, dlaczego tak szlachetny postępek okrył was hańbą?

— Czyż nie wiesz, że pomoc okazana samobójcy uważaną jest za hańbę? Kto wyciągnie z wody topielca lub odeśnie człowieka, który się powiesił, ten ściąga na siebie ogólną pogardę.

Hubert z niedowierzaniem słuchał tej opowieści; mało zazwyczaj obcuując z ludźmi, zajęty własnymi myślami nie znał dziwnych pojęć o honorze, jakie panowały w owych czasach.

— Więc to co uczyniliście okryło was hańbą w oczach wszystkich? — raz jeszcze spytał powątpiewająco.

— Tak — z przynębeniem odparł nieznajomy — towarzysze nie chcieli pracować razem zemną, majster mnie odprawił i teraz zadowolnić się muszę tem, że na przedmieściu znalazłem przytułek u pewnego cyrulika, który jest tak samo jak ja shańbionym.

— A cóż on złego popełnił?

— Oddaje się rzemiosłu, które uważane jest za hańbiące, a nie mógł się innego nauczyć, bo żaden majster nie przyjąłby do siebie młodzieńca, którego ojciec i dziadek byli cyrulikami.

Hubert oniemiał ze zdziwienia, a tymczasem nieznajomy mówił dalej:

— Ha! trudna rada! muszę się pogodzić z moim losem. Już od dwóch miesięcy służę za parobka u tego cyrulika i tak oto wlokę nędzny żywot.

— Czy nie macie rodziny? — zapytał Hubert.

— Mam rodziców, ale oni mieszkają daleko stąd, w Augsburgu. Nie mogę myśleć o powrocie do nich.

— Jak się nazywają wasi rodzice? — zawołał Hubert nie dając mu dokończyć rozpoczętego zdania.

— Jan i Barbara Fleischingerowie.

— A więc jesteście tym Krystynem, którego matka oplakuje jak umarłego?

— Tak jest, nazywam się Krystyn Fleischinger. Ale dlaczegoż cię to tak cieszy, mój chłopcze?

Istotnie Hubert nie posiadał się z radości. Rzucił na ziemię swój węzełek, schwycił towarzysza za obie ręce wołając.

— Krystyn Fleischinger! Krystyn Fleischinger! Boże, dzięki Ci za to, że mi pozwoliłeś go odnaleźć! — Ochłonałszy wreszcie z pierwszego wrażenia, rzekł spokojniej: — O! cieszyć się razem ze mną, idę wprost z Augsburga, widziałem waszą matkę.

— Czy ona pamięta dotąd o mnie? czy wspomina mnie? — zapytał Krystyn śmiertelnie blady ze wzruszenia.

— Mówiła mi dużo o was... martwi się ciągle tem, że od tak dawna nie miała o was żadnej wieści.

— Nie śmiałem — zaczął Krystyn.

— Ojciec wasz umarł przed kilku miesiącami — przerwał żywo Hubert. — Wracajcie jak najprędzej do matki; samotnej i opuszczonej, możecie założyć własny warsztat, i rozpocząć nowe życie.

— O Boże ojciec nie żyje! — zawołał Krystyn wznosząc ręce ku Niebu.

— Ale! wasza matka będzie szczęśliwą, skoro was zobaczy! O! śpieszcie się, dziś jeszcze ruszajcie w drogę aby smutek jej w radość zamienić.

Tak rozmawiając doszli do małego domku, przed którym wisiał szyld cyrulika.

Krystyn zatrzymał się przed progiem.

— Dzięki Ci stokrotnie, Boże, za wieści o matce! — zawołał do głębi serca wzruszony — a chociaż trudno mi ruszać w drogę bez grosza teraz zwłaszcza, gdy jestem osłabiony świeżo przebytą chorobą, nie będę jednak zwlekał ani dnia.

— Weźcie to — rzekł Hubert, oddając mu swoją sakiewkę. — Są to wasze własne pieniądze, bo matka wasza obdarzyła mnie niemi na drogę. Wydałem wprawdzie sporo, ale to co zostało, wystarczy wam na odbycie podróży do Augsburga.

Napróżno Krystyn wzdragał się i nie chciał przyjąć pieniędzy, musiał wreszcie uleść naleganiom Huberta. Ten ostatni raz jeszcze opowiedział mu szczegółowo, w jaki sposób poznał jego matkę i co staruszka porabia, poczem obaj ci ludzie, którzy spotkali się tak dziwnem zrządzeniem losu, ruszyli każdy w swoją drogę.

Krystyn wszedł do domu aby zabrać bieliznę swą i odzież. Hubert powrócił do miasta, bogaty w świetne nadzieje, ale ubogi w to, co stanowi dobro doczesne. Ostatni grosz swój oddał Krystynowi, nie troszczył się jednak o przyszłość, bo przeświadczenie, że spełnił swój obowiązek, że dobrem za dobre odpłacił, niewypowiedzianym spokojem napęłniało mu serce.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Otwarcie kolei żelaznej w Jerozolimie (z drzew.) — W listopadzie, wiersz p. E. M. — Do ziemi nieznanej p. Halię Tokarzewską (z drzew.) — Argonauta (z drzew.) — „Śpij spokojnie, obrazek p. A. Do. — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Dodatek: Psy australskie (z drzew.) — Wyprawa po skarb zaklęty p. N. — Skargi, wiersz p. Helenę Bojarską. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebów.